

Włodzimierz Korsak

część III z IV

Sygnatura notacji: **N1364**

Data urodzenia: **10.02.1928 r.**

Data nagrania: **06.06.2019 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Lublin, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Karol Litwin**

Czas nagrania: **część I: 70 min, część II: 46 min, część III: 45 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 70 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Włodzimierz Korsak: Musiałem się cofnąć, bo mieliśmy rozkaz wykonania wyroku śmierci. Temu panu, który podobno był fryzjerem i wydawał wszystkich partyzantów, którzy nawet w normalnej rozmowie, jaka u fryzjera była toczona, to on wydawał tych ludzi. Rozkaz otrzymałem ja z Ryśkiem, my weszliśmy do środka tego domu, to jeszcze na Bronowicach Starych, nie pamiętam jaka ta ulica, boczna od Łęczyńskiej. Ja z Gienkiem miałem rozkaz wyprowadzić żonę z dziećmi, żeby one nie widziały tego, nie były świadkiem. Myśmy mieli je wyprowadzić do komisariatu milicji, który był za Placem Wolności. Nie pamiętam jak ta ulica się teraz nazywa. Tam była stacja benzynowa i komenda milicji i Cień tam był całym szefem tego. Korzystaliśmy w ten sposób, że prowadząc się, kazaliśmy iść przed sobą, a byliśmy po cywilu i opaski tylko, MO. W każdym razie doszliśmy z nimi do kina, a w międzyczasie z kina zaczęli ludzie wychodzić. A myśmy się wmiesza- li w ten tłum, razem z ludźmi się zmieszaliśmy, wycofaliśmy się, opaski schowaliśmy. Tak że ta pani z dziećmi, nie wiem, czy doszła do komisariatu, czy była... Prawdopodobnie, chyba tak. Tak że nawet nie wiedziała, kto ją prowadzi i gdzie. Ja dlatego przegapiłem to, mówiąc o Lublinie, bo to uciekło mi z pamięci. Ja w każdym razie we Wrocławiu uważałem, że działalność to mija się z celem, bo to nie damy rady, a tworzenie jakichś organizacji to zabawa w ciuciubabkę. Ale moment był taki, że w 1947 roku było ujawnienie. Ojciec mnie cały czas namawiał: „Słuchaj, ujawnij się, będziesz miał spokój, bo to jest dekret wydany”. Owszem, dali spokój, tylko mieli już mnie na patelni i szukali. Co pewien czas wzywa- ny. „Z kim się spotykasz?” Ja mówię: „Chodzę, uczę się, z nikim się nie spotykam”. „To będziesz aresztowany”. Wiedzia- łem, że 48 godzin mogą mnie zatrzymać i muszą wypuścić. Wcale nie reagowałem. Mówcie swoje, a ja będę robił swoje. Ale koledzy działali. Prawdopodobnie któryś z nich przy aresztowaniu wspomniał, czy podał, że ja znam je, że z nimi współpracuję. Współpraca polegała na tym, że jeśli opowiadał jakąś działalność, to korygowałem, że to nie tak się po- winno robić czy inaczej, że jeśli idę na jakąś akcję, to przedtem trzeba dobrze rozpracować, przygotować, wiedzieć,

którędy można wycofać się i jak. Nie używać broni, w sensie, żeby nie strzelać, bo to rozgłos duży jest i wtedy można łatwo trafić, raczej z pozycji strachu i zastraszenia. No takie, jak ja uważałem wtedy, że to rady koleżeńskie dawane, nie dlatego, żeby szkoleniowe. Ale w śledztwo, aresztowanie. Aresztowany byłem koniec stycznia, początek lutego, chyba początek lutego. Aresztowany byłem w domu w 1950 roku. Wraciałem wtedy z wykładów, późno, byłem żonaty. Mieszkaliśmy w Lublinie na Parkowej, niedaleko gimnazjum, niedaleko Hali Ludowej. Wszedłem do mieszkania, a tu jacyś obcy ludzie. Nawet nikt rewizji nie przeprowadził. Tylko później, że będą tu rewizję w domu. Przecież ja żadnej broni nie miałem, niczego, więc... Powierzchowne takie obmacanie było, nie mam nic, to zabrali. Nie skuwali mnie, nie kazali kłaść się na podłogę. Nikt nie krzyczał, nie wrzeszczał, nawet zdziwiony byłem. Nieraz, jak dzisiaj porównuję te aresztowania, to ze mną obchodzili się jak z dzieckiem. Ale obchodzenie się z dzieckiem było bardzo niekorzystne później w śledztwie. W śledztwie to bicie, maltretowanie. Śledztwa w nocy tylko były prowadzone, w dzień nie. W nocy do karca. Karzec był taki, że na czworakach się wchodziło cały czas, nago. Tam na miejscu można było się załatwić. Jedzenie nie podawane, tylko po dwóch dniach nieraz dopiero wypuszczali. W kucki można było się albo na tej mokrej, betonowej podłodze się położyć. No wtedy przy tym, że tak powiem, mordobiciu, jakie tam prowadził pan Orzeszyna, to dwa zęby wyleciały mnie. Może to były słabe zęby albo może za mocno on bił. Bicie było ręcznie albo kablem takim elektrycznym, bo to wiadać było, że to kabel elektryczny, stanie, kazał stać na... To ja trochę stałem, a jak nie, to siadałem. No to wiadomo, że oberwę, że siadłem. Znaczący kucnąłem. Palenie papierosów i dmuchanie dymu w nos. Paliłem wtedy, ale tego dymu nie wdychałem. No jak wspominałem, śledztwo nocą. Konfrontacje. Żeby się przyznawać do tego, czego nie zrobiłem. Ja sobie mówiłem, i tak mnie w jakiś wyrok władają i tak. Ale nie przypuszczałem, że między innymi wyrok będzie, to ja się później dowiedziałem od adwokata, że wyrok taki dostałem z uwagi na to, że brałem udział w zabójstwie, w wykonaniu wyroku. Pierwszy wyrok, sąd rejonowy, wojskowy, kara śmierci. Ale bardzo szybko Sąd Najwyższy w Warszawie uchylił po nowym składzie, 15 lat, konfiskata mienia. Do więzienia, stamtąd z Kleczkowskiej we Wrocławiu, w więzieniu byłem, stamtąd przerzucony do Rawicza. Nawet między innymi nie wiedziałem o tym, że siedziałem w celi, gdzie Bierut był w tej celi. Cella taka duża, że jak dwóch nas stało, żeby przejść obok siebie, to trzeba było nie bokiem, tylko twarzami, bo inaczej nie przeszliśmy, tak wąsko było. Na spacer jak wypuszczali, to twarzą do ściany, nie wolno było się odwrócić. Tak że nawet jak chciałem poznać wartownika, to nie wiem, kto tam był. Odległość na spacerach dosyć duża, rozmów żadnych. Chwila, kiedy nawet coś sam ruszył, nie mówił, tylko ruszył, to strażnik podbiegał i jak miał pęk kluczy, tak po nerkach walił albo po żebrach. I od razu, jak mu się wydawało, że ktoś rozmawia, z powrotem na celę. Stamtąd później jeszcze do Wronek przetrzucili, ale w jednych i w drugich wypadkach, tak jak w Oświęcimiu więźniowie mieli numer, tak ja miałem numer, który musiałem podać, pod jakim numerem jestem i z jakich artykułów skazany. Po tym wszystkim, to chyba po 1951 roku czy na początku 1952, przetrzucili nas do Nowogardu. To więzienie było, to jest jakiś stary zakon, bo to był na wyspie, otoczony wodą. Tam już było źle, nie cele, nie stawianie twarzą do ściany. Żeby wartownik, jak się wychodziło z korytarza, to szło się twarzą, na ścianę trzeba było patrzeć. Tu normalne. Mało tego, kazali nam pracować. Praca polegała na szyciu obuwia dla wojska. Początkowo to szycie dratwą, to było bardzo paskudne, bo ręce nieprzyzwyczajne, nie umiał człowiek, to poprzecinały się nadgarstki. Ale jakiś był taki moment, że któryś z tych majstrów szukał, kto by na maszynie, bo na maszynie były robione niektóre elementy. Kto sprytnie... To ja się zgłosiłem. Zacząłem pracować na maszynie i to nawet dobrze mi wychodziło. Był tam okres tak zwanego stachanowca, który wykonywał powyżej normy, to był stachanowiec. Napis nad jego miejscem pracy, tam gdzie maszyna była, to napis był, że więzień skazany z jakich artykułów i kto, jak to jest, resocjalizuje, że wykonuje ile normy. Mało tego, za 105% wykonywania normy, to już dwa dni mogą liczyć na skrócenie wyroku. Natomiast 130% do 160%, to cztery do pięciu dni. Mnie się udawało wykonywać 220,

bo Niemiec, który ustawiał maszynę, tak wyśrubował, że maszyna szybciej pracowała, ale i moje ręce też. No to wtedy ja uzyskiwałem osiem do sześciu dni. To się nie opłacało. No, ale teraz los trafił, że ja przeziębilem się, wychodząc z łożni w drelichu cieniutkim zimą, to przewiało mnie, słaby organizm. Ale cofnę się wcześniej przed pracą, między pracą, że tak powiem, nim doszedłem do maszyny i oficer do spraw politycznych szukał, kto umie pisać na maszynie. Ja kiedyś w Żabiej Woli się nauczyłem pisać na maszynie. Nie całymi palcami, ale czterema palcami biegle pisałem. No i ja się zgłosiłem. No to kazał mnie przepisywać jego prospekty, wykłady polityczne dla, jak ja mówię, klawiszy. Jak ja zacząłem to przepisywać, to mu zwróciłem uwagę, że to nie tak pisane, że tu błędy są. Nie powiedziałem, że to jest błąd jego, że tak nie powinno być, że powinno inaczej to być napisane. Stylistycznie trzeba to inaczej ująć. Powołuję się na książki Stalina czy Lenina, jakiś paragraf, ale to nie w tym miejscu. Skąd ja to wiedziałem? Myśmy w Rawiczu i we Wronkach innych księzek nie mieliśmy, tylko leninowskie, to człowiek czytał z nudów. Co tam... No w każdym razie, „Takiś mądry, to napisz”. No koniec końców ja panu oficerowi, zastępcy komendanta, pisałem wykłady dla tych więźniów. Jak to? Członek AK, NSZ-u i uczy swojego przełożonego. No, ale tak było. W każdym razie był moment taki, że ja już miałem dosyć wysoką gorączkę, ale pracowałem, bo nie chciałem iść, bo była izba szpitalna. Często przyjeżdżali różni przedstawiciele, ja myślałem, że to wojska czy milicji, którzy odbierali to obuwie, bo to było dla oficerów i dla żołnierzy robione którzy przyjeżdżali na kontrole, przy okazji chodzą tam, patrzą jak ci więźniowie przy tych maszynach czy ręcznie robią. No ja kiedyś pamiętam, słyszę za sobą, jakaś tam jest delegacja, przecież nie każą mi, żebym na baczność stawał, żebym przerwał robotę, bo maszynę nie ja przerywałem, tylko Niemiec mi przerywał maszynę. Nie przerywa, to robię. Słyszę za sobą: „Za co wy tu siedzicie?” „Wi” pamiętam z lat szczenińczy, tyle, co z sąsiadami w Warszawie w Nowolipiu, czy w Zamościu, Żydzi nie... Owszem, ci, którzy mieli jakieś wykształcenie, to mówili dobrze po polsku, a przeważnie te „wi” to typowo żydowskie odezwanie się, nie „Wy”, tylko „Wi”. Ja nie patrząc na ten mówię: „Dlatego, że wy tą Polską rządzicie, za to siedzę”. Nie wiedziałem o tym, że to jest wicedyrektor Departamentu Więziennictwa. No i od razu komendant mówi: „Do karca”, jak to władzy ubliżyć, ja pomyślałem tak: „Wyrok mam, to i tak w to mi się zmieści, mogą mi dać”. No w każdym razie, klawisz, który mnie prowadził, mówi: „Głupi jesteś jak but, masz dobrą robotę, czegożeś się...”, tak powiedział dosłownie, „do gułają odezwał”, „nie wiesz kto to jest?”. Mówię: „– Nie wiem – mówię – Żyd, „– A skąd wiesz? Bo słyszałem mowę żydowską”. No powiedział mi kto to jest, mówię: „To podpadłem paskudnie i chyba nie wyliżę się z tego”. Wezwali mnie do raportu. Rozmowa, czego ja tak się odezwałem, „Bo tak się odezwałem, zmęczony jestem, ciężko mi idzie”. No i ten wicedyrektor pyta się, czy w Lublinie ja mieszkam. Mówię: „Tak” i pyta mnie się, czy nazwisko „Kawa” znam. Mówię znam, to Żyd, który wywoził bydło na zachód, a ojciec sprawdzał, czy to jest zdrowe. Kazał komendantowi zostawić nas samych, no i zaczął wypytywać się. Skąd ojciec, gdzie skończył, czy skończył studia, jak Kawa często z ojcem się spotykał. Mówię, nie wiem, przyjeżdżają różni ludzie. Jako dziecko czy chłopak nie interesowałem się tym. A czy kiedyś jakichś Żydów woziłem, mówię, że nie, a co ja mam wspólnego z Żydami? Nie byłem furmanem, ani niczym, co by woził Żydów. „A w nocy nie woziłeś nikogo?” „Oj, to było kiedyś, tam ze strachu, to chłopak bał się jechać, to ja pojechałem”. No, pytał się jak, co. No powtórzyłem, tak jak teraz mówię, tak i wtedy. Mówi: „Ty wiesz, że tam mnie żeś wywiozł?” Mówię: „Pan może teraz mi mówić, że wywiozłem”. Głucho było, ciemno, ja nie patrzyłem i nie wiem, kto tam był. W każdym razie po jego wizycie lekarze wzięli się za leczenie mnie. Bo tak, przepraszam, za szybko powiedziałam sprawę. Po tym wszystkim stanąłem do raportu, musiałem przy wszystkich przeprosić jego. Oficjalnie siedem dni kary dostałem. Kara polegała na tym, że klawisze gazety przynosili i papierosy. Ale gorączka mnie złapała, zacząłem się śłaniać. Akurat robili zdjęcia tym małym rentgenem, wykazane, że mam nacieki. Z miejsca zawieźli mnie do szpitala, do Szczecina. Tam stwierdzili, że mam nacieki wielkości pesek od jabłonki, na prawym i lewym płacie górnych części. No

i na szpital. Tyle, co łacinę znałem, jak przeczytałem po łacinie, no to jest wydział gruźlicy. To nogi mi siadły, no, co, przy tym wyroku gruźlica to jest koniec. No i faktycznie było ciężko, bo tak, wysięk wody, gorączka, zapalenie płuc. Jeść mi się nie chciało, wszystko w ustach stawało. Ja chciałem się wykończyć. Przy tym układzie uważałem, że będzie najlepsza śmierć. Bo wyjdę gruźlik i co? Opinie o gruźlicy miałem, że to pluje tą gruźlicą, niedołężny, to co za życie, to lepiej teraz. W międzyczasie pan wicedyrektor przyjechał, bo chciał się podobno zobaczyć, później mi to opowiadał w Nowogardzie. Dowiedział się, że mnie nie ma, że ja w Szczecinie. Przyjechał do Szczecina. Wiem, że przyszedł, stanął nad łóżkiem, a ja przy otwartym oknie leżę, nisko te okna w szpitalu były. Łapię powietrze, papierosów nie palę, bo się bym chyba udusił. Jeść nie chcę. Sztuczne odżywianie, kroplówki. Nie tak jak dzisiaj, tylko to są za każdym razem w żyłę wbijane. Tu kroplówki przestały działać, bo żyły zaczęły się zwężać. To lekarz z Powstania Warszawskiego, Sławek, nie Sławek, tylko Stanisław, że będziecie mieli koncert życzeń. No, w sumie to w uda. Wbijają na sen i kroplówka. Wyłem z bólu, bo żyły już nie przyjmowały. Sondę wypluwałem, nie chciałem przyjmować, bo chciałem się wykończyć. I przyjechał on. No i kazał, żeby pisać wniosek o zmniejszenie wyroku. Ja mówię, że może krzyżyk tutaj postawię, pisać nie. Nie wiem, czy on, czy kto tam pisał. Przynieśli mi jakieś papiery, kazał podpisać. Podpisałem, mówię, jeszcze w ten wyrok to mi się zmieści. Po tym wszystkim, nie wiem, czy to była jego inicjatywa, czy lekarz, bo lekarzy mieliśmy wolnościowych, jeden był więzień, tak jak mówiłem, Stach z Powstania. Lekarze przynosili streptomycynę. Streptomycynę dostawali tylko partyjni. To było rzadkie, żeby ktoś... A ja jako więzień... Oni przynosili z zewnątrz, ze szpitali. Ja dostawałem. W przeciągu jakichś kilku miesięcy ja stanąłem na nogi. Raz, że zacząłem jeść, nie sztuczne odżywianie. Wodę mi ściągnęli, trzy i pół litra. Ostatnie ściągnięcie, to pan doktor chyba był lekko trącony, bo mi wbijał trokar z tyłu, między żebra i w żebra zawsze trafiał. Jak mu zemdlałem, to dał spokój. No i ja później zacząłem pracować, bo Stach wychodził, jemu wyrok się kończył i dyrektorowi szpitala powiedział, że ja znam dobrze łacinę. Na zwierzętach robiłem zastrzyki, to mogę się przydać. Faktycznie, pracowałem jako... Prowadziłem historię chorób. I problem był początkowo z pielęgniarkami, bo miały do mnie pretensje, bo lekarz pisał po łacinie leki. Ja to samo przepisywałem. Przychodziłem i mówi: „Coś ty popisał, pisz po polsku, co tu jest napisane?”. „Po łacinie, jak lekarz, pójdziesz do magazynu i z magazynu ci nie wydadzą, jak ja po polsku napiszę”. „No to mów, powiedz, co to jest”. Można powiedzieć, że pielęgniarki nie znały łaciny. Poziom był bardzo słaby wtedy, to są lata 50. W każdym razie, pracując tam w szpitalu, lepiej się poczułem, bo już nawet pozwolili mnie włosy nosić. Nawet luksus miałem, że kiedy chciałem, to szedłem wykąpać się w wannie, nie to pod prysznicem i w biegu. Ale był moment taki, że... Klawisz, który lubił żartować, powiedział mi: „Jak ty będziesz wychodził, to nie będziesz wiedział kiedy”. No, faktycznie. Na jego dyżurze wyzywa mnie, każe mi zostawić wszystko i mówi: „Przenoszą cię”. Mówię, to są podstawowe rzeczy, papierosy, tyżka, swetr, który pod ubraniem, pod tym drelichem się nosiło, jak był mróz. Mówi, buty własne miałem, chodziłem w nich, nie w drewniakach. Mówi: „W butach możesz wyjść, a resztę wszystko masz zostawić”. No nie wiem, przenoszą mnie? To człowiek wtedy głupieje. U komendanta kazał, daje jakieś dokumenty i podpisać się. Mówię: „– Co, wyrok następny? – Podpisuj, nie gadaj”. No podpisałem, kazał mnie zaprowadzić na magazyn. „Przebieraj się”, dają mi garnitur, moje ubranie, nieśmierdzące, wyprasowane, koszula czyściutka, niepogięte spodnie, no garnitur niepogięty, tak jak gdyby z pralni świeżo wyszedł. Aż się zdziwiłem. No miałem trochę na koncie, bo i ojciec przysyłał pieniądze, trochę zarobionych miałem, wpłacili w Nowogardzie. Ubrałem się, a wartownik mówi: „Na co się oglądasz? Chodź ze mną” i idę z nim. Dochodzimy do drzwi wyjściowych, do bramy, wychodzi i mówi: „Zjeżdżaj, nie pokazuj się”. Wyszedłem za tę bramę i stanąłem jak głupi. Nie wiedziałem, co jest, nigdzie mnie nie prowadzą, nie każą iść, tylko za bramę. Nikt nie powiedział, że wychodzę na wolność. Byłem tym oszołomiony dosłownie. Jeszcze przed wyjściem fryzjer mnie ogolił, tak że byłem i ogolony, włosy miałem długie, znaczy nie jakieś długie, ale na wysokość zapalki, no to nie rzucałem się w oczy.

Ubranie nie śmierdziało stęchlizną czy czymś. Może blady trochę na twarzy, bo słońca mało. No i tak wyszedłem z więzienia, nie wiedząc o tym, że mam warunkowe. Ale później skojarzyłem, że to chyba ten wicedyrektor się przyłożył. Byłem w Departamencie Więziennictwa i podziękowałem mu. Który to był miesiąc i rok, kiedy pan wyszedł? 1955 rok, miesiąc maj. Pięć i pół roku równiutko. Jak potem pana życie wyglądało? Dla mnie to po wyjściu byłem trochę tak, jak gdyby powiedzieć, wypuszczony. Nie wiem, co się dzieje, bo gazet nie mieliśmy. Gazety były sporadycznie, to w szpitalu to już miałem gazety, mogłem czytać. Lekarze przynosili, ja mogłem poczytać, później jak odchodzili, to zabierali. Tak że mniej więcej orientowałem się, co to był za okres czasu, kiedy Stalin umarł. Tak nazwijmy odwilży. Ale pierwszy początek, to mówię, jak ja tu będę się czuł w tym społeczeństwie, czy ja dam radę, czy za mną się nie oglądają, czy jakiś ogon za mną nie chodzi. Bo to różne wersje, wypuszczając wcześniej, że ogon musi być. Koledzy w międzyczasie pokończyli studia, jeden z kolegów pracował w szpitalu i miał nadzór w sanatorium koło Kłodzka. Prześwietlił mnie, mówi, są jeszcze ślady, bo to nie była gruźlica prątkująca, tylko gruźlica minus tak zwana. „Te zacieki, te nacieki ci się już zablizniają i dobrze byłoby, żebyś miał całkowicie”. To załatwił mi skierowanie pod Kłodzko do szpitala sanatoryjnego i tam ponad pół roku na lewych papierach byłem. Nie wdawałem się w dyskusję, w rozmowę z nikim, bo mówię, że jestem porzucony przez żonę i nie chcę z nikim kontaktów. Faktycznie żona w międzyczasie, żona z pierwszego małżeństwa umarła, jak ja w więzieniu siedziałem. Ona w 1951 roku umarła. Wracła z wykładów, a Wrocław był w większości wypadków, nie wiem, czy panowie wiedzą, w rynku był spalony. I te kamienice, wiatr jak wiatr, to nieraz te cegły spadały, nieraz czasami całe mury. No i taki kawał muru spadło, tak że na miejscu zginęła. Okres dla mnie po wyjściu był, tak jak ja mówię, jak koń dorożkarski, który ma klapki na boku, to ja tylko widziałem przed sobą, ale co dalej się dzieje, to nie wiem. Nie mogłem się początkowo dostosować do społeczeństwa. Trochę się obawiałem. Czułem się nieswój. Ale... Jak już zaleczyłem się, koledzy powiedzieli, że gruźlicy nie mam, tylko muszę uważać, żeby się nie przeziębiać, bo może mi się odnowi, bo płuca będą wrażliwe w tej chwili, to parę lat musi, żeby się całkowicie... Podjąłem pracę w PTTK w Lublinie jako kierownik oddziału. Przez dwa lata pracowałem, ale ktoś usłużny doniósł, że ja w życiorysie nie podałem, że ja siedziałem w więzieniu. A ja nie podałem tego. Ja podałem, że w tym czasie leczony byłem na gruźlicę. I to mogli stwierdzić, bo ze szpitala miałem zaświadczenie, że byłem. I z sanatorium. Tylko tam nie było dokładnie podane, od kiedy do kiedy, tylko „Był leczony”. No i, że tak powiem, podziękowali mi za pracę, z uwagi na zmniejszenie etatów. A to okazuje się, że ktoś prezesowi usłużnie doniósł, a pan prezes był członkiem partii. Ale to ja się później dowiedziałem. Że on partyjny był, to wiedziałem, ale że doniósł, nawet wiem, kto tam. No w każdym razie potem, w międzyczasie w PTTK będąc, poznałem żonę, pobrałiśmy się, ślub w ciągu roku, niecałe pół roku. Nie szukałem jakichś wrażeń, dziewczyn, czy jakichś szukać bogatych, z wykształceniem dziewczyn. Żona skończyła technikum ekonomiczne w Lublinie. Później pracowała jako księgowa w MHD. A ostatnio jako naczelnik wydziału finansowego w Dyrekcji Dróg i Autostrad na Ogrodowej. Był okres po wyjściu, że miałem przerwę w pracy, ale któryś z kolegów zaproponował mi „Słuchaj, w kuratorium jest wydział szkolnictwa”, a akurat zacząłem chodzić do budowlanki. Przedtem we Wrocławiu miałem na studia, ale mówię, studia nie dam rady, ale technikum to chyba dam radę skończyć. Po maturze chyba jakoś wyląduję. W każdym razie technikum zrobiłem. Za-trudniłem się w kuratorium, w wydziale szkolnictwa. Początkowo prowadziliśmy chyba we dwóch dział dokumentacji, a później jak rozwiązali nas z kuratorium, znaczy powiedziało, że nas rozwiązali, przeszliśmy do DIM-u, do Dyrekcji Inwestycji Miejskich na Narutowicza. Część nas do południa na Okopową. Ja chciałem koniecznie razem być ze wszystkimi na Okopowej, ale dyrektor DIM-u na mnie i na jednego z kolegów się uparł, że on nas chce mieć u siebie. Też tak samo tam prowadzili nadzór nad szkołami. Między innymi technikum budowlane. Stare skrzydło projektował inżynier Lipiński, a drugie skrzydło, te nowe, bliżej Parku Saskiego, syn jego też Lipiński. Śmialiśmy się, ojciec i syn budowlankę robili. To sze-

reg szkół, gimnazjów były prowadzone, nadzór nad tym. Tysiąclatka była budowana przez milicję. To był okres radosnych twórczości w celach społecznych budowy szkół tysiąclatek. Według mnie w terenie, po wsiach, to był poroniony pomysł, bo to były materiały budowlane. To była dobrowolna składka. To gospodarze albo pieniądze, albo drzewo, czy materiały jakieś przywozili i w czynie społecznym ktoś to budował. Nadzór był gruszka na wierzbie, tak jak ja mówię, i krzywo, niewyraźnie. Dwie, trzy izby, żeby tu szkoła była, żeby te dzieci gdzieś je nie wozić, tylko żeby tu były. Nie można było tego zahamować, bo to byłby sprzeciw. Towarzysze partyjni zaraz by powyrzucali, jak byłyby nasze uwagi, że trzeba to z jakąś dokumentacją robić. Nie, to w czynie społecznym, społecznie budowane. Wiadomo, że po kilku latach to się pozawalało albo uległo zniszczeniu. Natomiast na terenach miast, większych osiedli, to były budowane ze środków skarbowych. Tam pełna dokumentacja. Między innymi pamiętam, jak była budowa szkoły ze środków Urzędu Bezpieczeństwa w Puławach, koło torów kolejowych, nie pamiętam, za dworcem głównym. Dworzec główny, jadąc do Warszawy, jest po lewej stronie, główny. Nie ten pierwszy, bo w Puławach mamy dwa dworce. Były, to nie wiem jak teraz. Stary dworzec i nowy. A szkoła policyjna w czynie społecznym była budowana po przeciwnej stronie, w lesie. No i miałem problem z dyrekcją lasów, bo dyrekcja lasów nie wyrażała zgody na wycinkę drzew. Żaden z projektantów w tym lesie nie mógł postawić budynku, bo drzewa przeszkadzały. Kilka drzew trzeba byłoby usunąć. Oni warunki tam stawiali, żadnych wycinek. Między innymi pracował w dyrekcji lasów Gozdalski Edek. On ze mną razem uczył się w Celejowie, w tych Klementowicach. To jest jeden z członków NSZ-u, Narodowych Sił Zbrojnych. Ja się później dowiedziałem, że on też był. Ale mało tego, jego chałupa, jego rodziców jest przeniesiona do wsi polskiej, tu w Lublinie na Sławinku. Kiedyś tam w tej chałupie, jeszcze jak stała na wsi, to byłem. Później tutaj w Lublinie już była przeniesiona. A Edek był w tym czasie w nadleśnictwie, w Puławach pracował. No i powiedział: „Kategorycznie nie damy zezwolenia, bo dyrektor się nie zgadza, a wy musicie tak kombinować, żeby to było”. W międzyczasie zaczęta była budowa Azotów w Puławach. Tam się nikt nie pytał o wycinkę drzew i nie przynosił zgody, tylko normalnie czołgi szły i wywalały te drzewa. A chłopci, to przeważnie z siedleckiego województwa, stamtąd przybyli i byli jako wozacy. Konie pracowały w takich [chomątach?]. Ponieważ tam jeden z kolegów prowadził tę budowę, ja tam kiedyś podjechałem do niego i mówię, że mam problem. A on mówi: „Masz problem? A co z drzewem?” Mówię: „Te drzewa to każę tym chłopom zabierać do domu już”. „No, co z tym robić? Wycinkę zrobić i co? Handel prowadzić?” Mówi: „Mnie jako wykonawcy interesuje teren, żeby był czysty”. To ja mówię: „Słuchaj, daj mi tych parę chłopów, ja pogadam z nimi”. No mówię im, czy dadzą wyciąć kilka drzew, tam było chyba sześć, siedem drzew, dokładnie, siedem drzew trzeba było wyciąć i łącznie z wyrównywaniem karpy z korzeniem i teren trochę wyrównać, żeby to nie było widać. Nie można tego robić w ciągu dnia, tylko w sobotę po południu, kiedy nie ma już ludzi, nie kręcą się. I mówię: „Te drzewa zabierzecie sobie”. „– Całe drzewo? Te sosny grube? – Tak, wszystkie grube. Gałęzie możecie zostawić, żeby wam nie przeszkadzały”. Chłopcy chyba, nie wiem, ile tych furmanek było, zjechał to się bractwo. Tych siedem drzew wycięli w ciągu dosłownie paru godzin, karpy traktor, spychacz przyszedł, wyrwał. To gdzieś wyciągnęli poza teren projektowanej budowy. Ja później idę. Z Edekim spotykam się znów, mówię: „Wy macie jakieś lewe podkłady. Ty mi tłumaczysz, że tam drzewa są, a według mnie tam drzew nie ma”. No zaczęliśmy się... „Tak, to wsiadaj w samochód, jedziemy zobaczyć”. Pojechał, pooglądał, mówi: „Jakaś cholera tutaj coś kopała”. Mówię: „Ale bierze podkład, na tym ma zaznaczone drzewa”. Mówię: „Ale tu nie ma. Ty widzisz, geodeta ci źle zrobił”. Mówię: „Weź tego geodetę za tyłek, niech robi drugi raz”. No i po paru latach żeśmy się spotkali, mówię: „– Wyciąłeś te drzewa? – Tak, wyciąłem”. „Nie ja, tu chłopci wycinali, ja tylko pokazałem im które.” „No, ja tak się domyśliłem, że ty to zrobiłeś, bo inny to by się bał”. I takie różne były problemy nieraz czasami. Znajomi koledzy z ławy szkolnej kontra...